



Egzamin wiary

Altschottland,
poniedziałek, 21 września 1896 roku

Jesień wyczuwalna była już w powietrzu. Chłodny wiatr zawiewał znad kanału, niósł ze sobą zatęchły zapach mokrych desek i pierwszych opadłych liści. Na przystani panował spokój, barki flisaków kołysały się leniwie przy nabrzeżu, a nieliczne brukowane uliczki lśniły jeszcze wilgocią po nocnym deszczu. Mewy krążyły nisko nad dachami chat, popiskując ostro o poranku. Dzień był szary, ołowiane chmury kłębiły się nad jedną z dzielnic Danzig i zwiastowały rychły deszcz. W powietrzu można było wyczuć coś jeszcze, coś trudnego do nazwania, coś, co zwiastowało koniec pewnego etapu. Margareta

Maria Bergmann, niespełna osiemnastoletnia córka zamożnego browarnika z Altschottland, nie potrafiła ubrać w słowa zmiany, która w niej zachodziła. Czuła ją jednak wyraźnie, tak samo jak poranny chłód na skórze, który wywoływał dreszcze, jak niepokój ukryty w podmuchu wiatru, co szarpał za starannie zapleciony jasny warkocz. Niepewne kroki młodej dziewczyny chrzęściły cicho na ścieżce wyłożonej żwirem. W myślach upominała samą siebie, że przecież to była jej własna decyzja. Nie chciała, żeby matka, która pewnie kroczyła tuż obok, dostrzegła jej lęk czy wahanie. Margareta pragnęła z całego serca przynależeć do ich wspólnoty nie tylko z urodzenia, ale z głębi przekonania. Świadome przyjęcie chrztu w wierze mennonickiej miało pogłębić jej wiarę i dać świadectwo pełnego zaangażowania, ale zanim to nastąpi, czekał ją ważny egzamin. Od kilku miesięcy co czwartek po południu odwiedzał ich Hermann Gottlieb Mannhardt. Pastor o czujnych oczach siedział przy dużym stole z dębowego drewna w salonie i z powagą, która nie dopuszczała sprzeciwu, mówił o dobrowolnym wyborze Boga oraz o tym, z czym wiąże się przynależność do zboru. Często powtarzał:

– Chrzest nie czyni cię członkiem świata. Czyni cię bardziej odpowiedzialną za niego. To nie koniec dzieciństwa. To początek posłuszeństwa wobec Boga z własnej woli.

Słowa te głęboko zapadły w pamięć Margarety, tak że nawet wybudzona z głębokiego snu potrafiła je wy-



recytować. Mimo to od pewnego czasu coraz częściej zadawała sobie pytanie, czy decyzja o chrzcie dojrzewa w jej sercu, czy też rodzi się z pragnienia, by nie zawieść matki. Ta bowiem od wielu miesięcy z nadzieją wyczekiwała chwili, w której córka sama poprosi o przyjęcie do zboru.

Podczas ostatniej wizyty pastor Mannhardt zwrócił się do Josephine i pewnie oznajmił, że jej córka jest gotowa przyjąć sakrament chrztu świętego. Josephine Bergmann zareagowała na tę wiadomość z zewnętrznym spokojem i charakterystycznym dla siebie opanowaniem, lecz w jej sercu kryła się cicha duma. Tylko jej surowa i powściągliwa natura nie pozwalała okazać tej radości światu. Gustaw Bergmann nie krył wzruszenia, kiedy żona jeszcze tego samego wieczoru poinformowała go o decyzji pastora. Z tej okazji podarował córce modlitewnik, który niegdyś należał do jego matki. Dziewczyna z przejęciem ujęła go w dłonie i natychmiast owinęła prezent w starannie złożoną lnianą chusteczkę. Teraz ścisłała oprawioną w skórę książeczkę z ostrożnością, niemal nabożnie, jakby trzymała w dłoniach coś bezcennego, dowód swojej dojrzałości i świadomego wyboru wiary. Choć była niemal pewna swojej decyzji, na moment się zawahała. Odruchowo uniosła wzrok na okazały dwór przy Radauneufer 23, który niczym widmo wyłaniał się z mlecznych oparów porannej mgły. Dwukondygnacyjna bryła z mansardowym dachem majaczyła w półświetle,



a prowadząca do niej lipowa aleja tworzyła naturalny tunel zieleni. Całość spowijał stary ogród, który wiosną wypełniał się wonią lilaków i różowym kwieciem drzew owocowych. Z boku posiadłości ciągnęły się rozległe zabudowania browaru, nad którymi pieczę sprawował jej ojciec, Gustaw Hermann Bergmann, właściciel i gospodarz cenionego od pokoleń browaru. Piwo warzone w Gustaw Bergmann Brauerei cieszyło się renomą nie tylko w Altschottland. Beczki z ich marką trafiały do portów Wielkiej Brytanii, Skandynawii i Holandii. W Liverpoolu, Bergen, Amsterdamie czy Göteborgu nie było trudno natknąć się na ich sygnaturę. Na dębowych pokrywach widniał napis: „Seit 1800 im Besitz der Familie Bergmann”, znak sukcesu wypracowanego przez pokolenia, który Margareta знаła od dziecka, choć dopiero teraz rozumiała, jak wiele ten napis znaczył. Browar należał do rodziny Bergmannów od 1800 roku, a teraz jej ojciec stopniowo wprowadzał synów w tajniki kierowania warzelnią.

– Margareto Mario Bergmann, nie ociągaj się – rozbrzmiał stanowczy głos Josephine, która spostrzegła, że córka pozostała w tyle.

– Tak, matko – odparła cicho i przyspieszyła kroku, aby zrównać się z wyprostowaną sylwetką Josephine ubranej w ciemny płaszcz.

Odkąd sięgała pamięcią, matka zawsze miała surowe i nieprzeniknione spojrzenie. Okazywanie uczuć przychodziło jej z trudem nawet wobec jedy-



nej córki. Również jej najstarszy brat nie doświadczył zbytnio matczynej miłości. Co innego pozostali jej bracia. Mimo tej oschłości dziewczyna była jej wdzięczna za obecność w tak ważnym momencie swojego życia.

Na żwirowej ścieżce rozległ się miarowy, głuchy stukot kopyt, gdy przed dworem zatrzymał się elegancki wolant w typie landauera. Lekka, starannie lakierowana kareta o smukłej linii i składanym dachu lśniła w wilgotnym porannym świetle. Zaprzężona w parę rosnących kasztanowych koni ze starannie wyczesanymi grzywami i uprzężą połyskującą mosiężnymi okuciami. Na koźle siedział Ernst, starszy woźnica i wierny służący rodziny Bergmannów, związany z domem od blisko czterech dekad. Szpakowaty mężczyzna uchylił czapkę w powitalnym geście, po czym zgrabnie zeskoczył na ziemię i otworzył drzwiczki pojazdu. Pani Bergmann skinęła mu niemal niezauważalnie i z godnością zajęła miejsce w środku. Margareta, trzymając mocno modlitewnik zawinięty w lnianą chusteczkę, ostrożnie uniosła spódnicę, aby nie dotknąć brzegiem wilgotnego żwiru, i podażyła za matką. Gdy usiadła obok niej na skórzanym siedzisku, Ernst zamknął drzwiczki, wrócił na kozioł i poruszając lejcami, dał sygnał do odjazdu.

Powóz lekko się zakołysał i ruszył w kierunku zboru przy An der Mennonitenkirche 2. Toczył się cicho po mokrej nawierzchni poranka, gdy jechali aleją lipową do głównej bramy. Pograżona w myślach



Margareta wpatrywała się w milczeniu w mijane zabudowania browaru. Z oddali dobiegały nawoływania pracowników, którzy od wczesnych godzin krzatali się przy ustawianiu beczek. Jeszcze poprzedniego wieczoru słyszała, jak jej bracia rozmawiali o kolejnym transporcie piwa jopejskiego, który lada dzień miał wypłynąć. Choć pojazd był zamknięty, szparami przedostawał się chłodny wiatr i niósł ze sobą zapach wilgoci znad rzeki oraz gryzący dym z pobliskich kominów. Po prawej stronie wzdłuż błotnistego brzegu Radaunekanał Margareta dostrzegła przycumowane barki flisaków. Nad wodą bawiły się dzieci rybaków, a klęczące na deskach kobiety prały ubrania w lodowatej wodzie.

Koła landauera podskakiwały na nierównościach drogi, a Ernst łagodnym głosem przemawiał do koni, uspokajając je przy każdym gwałtowniejszym wstrząsie. Dopiero gdy wyjechali na Radauneufer, droga stała się szersza i mniej wyboista. Mijali zakłady browarnicze, przetwórstwa rybnego oraz okazałe kamienice bogatych mennonitów. Po przeciwnej stronie kanału maszerowała grupa pruskich żołnierzy, a za nimi ciągnęły się wozy wyładowane workami zboża, które zmierzały w stronę młyna. Zapatrzona w mijane ulice Margareta w myślach powtarzała słowa psalmów, których musiała wyuczyć się na pamięć. Była tak tym pochłonięta, że nawet nie zauważyła, gdy pojazd wjechał na Bischofsberg. Droga prowadziła stromo pod górę, z jej szczytu rozciągał się



rozległy widok na panoramę Danzig spowitą lekką mgłą. Wśród dachów kamienic wyłaniały się strze-lista wieża ratusza oraz masywna bryła dzwonnicy Marienkirche. Po niedługim czasie dotarły wreszcie przed mennonicki zbór. Ceglany budynek był prosty i surowy, pozbawiony wieży oraz krzyża. Stanowił symbol pokory, którą tak ceniła wspólnota. Dziewczyna знаła ten świat od dziecka, była wychowana wśród sładu z browaru, cienia ogrodu oraz rytmu modlitw. Wiedziała, że po dzisiejszym dniu nic nie będzie już tak proste jak dotąd.

Gdy pojazd się zatrzymał, Ernst natychmiast zesko-czył z kozła i otworzył drzwiczki. Najpierw pomógł wysiąść pani Bergmann, potem z szacunkiem podał rękę młodej panience. Josephine bez słowa podeszła do drzwi zboru, a Margareta posłusznie za nią podą-żyła. Kobieta zatrzymała się przed wejściem, odwróciła się i uważnie przyjrzała się córce. Przenikliwy wzrok szarych oczu przewiercał dziewczynę, jakby chciała odczytać zapisane w jej sercu intencje. Po chwili poło-żyła dłoń na jej ramieniu, był to rzadki gest, ale w tym momencie pełen odpowiedzialności. Spojrzała w błę-kitne oczy córki, przetykane złotymi plamkami.

– Jesteś gotowa, Margareto? – zapytała ledwie słyszal-nym szeptem, jakby w obawie, że ktoś je podsłucha.

Dziewczyna skinęła głową, wzięła głęboki oddech i weszła do środka. Razem z chłodem poranka zosta-wiła za sobą to, co było. Przed nią czekała decyzja, która miała wyznaczyć jej przyszłość. Wnętrze zboru



było surowe i sprzyjało skupieniu. Drewniane ławy, bielone ściany i kilka prostych okien, przez które wpadało zimne jesienne światło, tworzyły przestrzeń pozbawioną ozdób i miejsca na gesty próżności. Wszystko tu służyło ciszy i modlitwie. W powietrzu unosił się zapach starego drewna, papieru i czasu. Na parapetach spoczywały w równych rzędach modlitewniki i katechizmy. Margareta знаła je doskonale, wiele z nich miało pożółkłe strony, zagięte rogi i wytarte litery od dotyku palców kolejnych pokoleń wiernych. Weszła głębiej z bijącym sercem, lecz z uniesionym czołem. Cicho przemknęła między rzędami ławek, starając się nie zwracać na siebie uwagi. Za plecami słyszała stłumiony odgłos kroków matki. Zbliżały się do ambony, gdy uchyliły się boczne drzwi i stanął w nich pastor Hermann Gottlieb Mannhardt. Mężczyzna liczył sobie czterdzieści jeden lat i od roku 1879 pełnił funkcję przewodniczącego gminy mennonickiej w Danzig, którą objął po śmierci wuja Jacoba Mannhardta. Prezentował się nienagannie, ubrany był w czarny, starannie skrojony surdut z dwoma rzędami guzików i charakterystyczny biały kołnierzyk kaznodziei. Sprawiał wrażenie człowieka, dla którego dyscyplina i porządek były nie tylko zasadami wiary, lecz stylem życia. Ciemne włosy były krótko przystrzyżone, a twarz okolona gęstą brodą oraz wąsami, które dodawały mu powagi i autorytetu.

– Dobrze cię widzieć, dziecko – przywitał ją z powściągliwym uśmiechem, jak zawsze pełen opa-



nowania. – Zbór już na ciebie czeka – dodał, wskazując dłonią otwarte drzwi.

Margareta spojrzała na matkę, która zatrzymała się nieco z tyłu. Josephine skinęła głową krótko na znak wsparcia. Zachęcona tym gestem dziewczyna zrobiła krok naprzód i weszła do środka. Ciężkie drzwi zamknęły się za nią z głuchym łoskotem. Pastor zajął miejsce wśród czwórki członków starszyzny, a przybyła stanęła przed mężczyznami odziana w skromną, zapinaną pod szyją sukienkę z granatowej wełny, z niewielkim kołnierzykiem i delikatnymi zakładkami w pasie. Całą swoją postawą wyrażała pokorę, skupienie i gotowość duchową.

– Margareto, córko rodziny Bergmannów – zaczął pastor – dziś stajesz przed nami, aby wyznać swoją wiarę i gotowość do życia według nauk Chrystusa. Powiedz, co wiesz o Panu Jezusie i jakie miejsce zajmuje On w twoim sercu?

Panna Bergmann wzięła głęboki oddech. Przez lata słuchała w domu i zborze opowieści o życiu, śmierci i zmartwychwstaniu Chrystusa. Wiedziała, że wiara mennonicka kładzie nacisk na pokorę, miłość bliźniego i życie w pokoju.

– Pan Jezus jest naszym Zbawicielem i Nauczycielem – odpowiedziała spokojnie. – On pokazał nam, jak żyć w miłości i pokoju, nawet wobec prześladowców. Jego nauka jest dla mnie światłem, które prowadzi mnie przez każdy dzień.



Starszyzna kiwnęła głowami z aprobatą. Pastor Hermann Mannhardt kontynuował:

– Mennonici wierzą w chrzest świadomej wiary. Nie jest to tylko obrzęd, lecz zobowiązanie do życia zgodnego z nauką Ewangelii. Czy rozumiesz, że przyjęcie chrztu oznacza nie tylko zewnętrzne znamię, ale codzienną walkę o to, by być uczniem Chrystusa?

– Tak, rozumiem – odpowiedziała Margareta. – Jestem gotowa podjąć ten krok i żyć zgodnie z Jego nauką, nawet jeśli to będzie trudne.

Kolejni członkowie starszyzny zadawali pytania o modlitwę, znaczenie Kościoła, postawę wobec świata i zasady pacyfizmu. Margareta odpowiadała z prostotą i szczerością, pokazując, że jej wiara jest czymś osobistym, a nie tylko rodzinną tradycją. Na koniec pastor Mannhardt spojrzał na nią łagodnie i rzekł:

– Dziś przyjmujemy cię do wspólnoty z sercem pełnym nadziei. Niech Bóg prowadzi cię w pokój i miłości.

Margareta poczuła falę ulgi i cichej radości, która rozlała się po całym jej ciele niczym przyjemne ciepło w letni dzień. Wiedziała, że to dopiero początek drogi, ale była gotowa kroczyć nią z pokorą i odwagą.

Po zakończonym egzaminie wiary pastor Mannhardt poprosił panią Bergmann na rozmowę. Poważna i skupiona Josephine zniknęła za drzwiami jego gabinetu, a Margareta mogła wreszcie przez chwilę odechnąć w samotności i ciszy. Stała w przedsionku zboru i delikatnie oparła się o chłodną, ceglana



ścianę. W zaciśniętych dłoniach wciąż trzymała swój modlitewnik, jakby był kotwicą w tym pełnym napięcia i wzruszeń dniu. Był namacalnym symbolem jej decyzji i duchowej dojrzałości. Ułożyła książeczkę na otwartej dłoni i rozchyliła brzegi lnianej chusteczki, aby następnie pogładzić palcem znajome przetarcia skóry, lekko wypukłe złączenia liter i odstające krawędzie stron, które zdążyła ukryć w pamięci. Ten niewielki przedmiot będzie jej towarzyszył podczas wielu cichych wieczorów, kiedy podejmie próbę zrozumienia, czym naprawdę jest wiara. Nie chciała traktować jej jako obowiązku, ale jako dobrowolny wybór. W głębi serca wiedziała jednak, że matka od dawna czekała właśnie na taką decyzję. Trudno było jej oddzielić własne pragnienia od tego, z czym dorastała przez całe życie. Trzymając go w dłoniach, czuła nie tylko ciężar obecnego dnia, ale też odpowiedzialność za to, co miało dopiero nadejść. Kiedy rozmowa dobiegła końca, Josephine bez słowa skinęła na córkę. Ernst już czekał przy powozie, trzymając otwarte drzwiczki z niemal ceremonialną uprzejmością. Kobiety zajęły miejsca na siedzisku, matka jak zawsze była wyprostowana i czujna, z rękami spoczywającymi na kolanach, a córka wyraźnie zmęczona emocjami tego poranka. Wystarczyło, że landauer ruszył z powrotem w stronę domu, a cichy stukot kopyt i kołyszący rytm jazdy uspokoiły myśli Margarety. Poczuła, jak całe napięcie powoli z niej uchodzi. Chłodne światło przedpołudnia wpadało przez



szyby, a znajome stukotanie końskich kopyt i kołysanie pojazdu działały niczym kołysanka. Nim minęły pierwsze zabudowania, dziewczyna przymknęła oczy i pozwoliła, aby sen otulił ją cicho jak miękki pled.

Josephine Anna siedziała sztywno, otulona szalem z miękkiej wełny, nie zdradzała żadnych oznak zmęczenia. Jasne włosy gładko zaczesane do tyłu i starannie związane w ciasny koczek u nasady karku skrywał biały czepek o prostym kroju, taki sam, jaki od pokoleń nosiły mennonitki. Twarz miała surową, niemal niewzruszoną z delikatnymi liniami wokół zaciśniętych ust, które mogłyby zdradzać zmęczenie lub zatroskanie, gdyby pozwoliła sobie na okazanie emocji. Zerknęła kątem oka na swoją córkę pogrążoną we śnie. Na kolanach dziewczyny spoczywał dobrze znany modlitewnik owinięty w lnianą chusteczkę. Josephine rozpoznała natychmiast stary, nieco wytarty egzemplarz, z którego teściowa czytała wieczorami psalmy. Przez ułamek sekundy jej wzrok złagodniał, jakby cisza i zapach jesiennego przedpołudnia pozwoliły jej dostrzec w śpiącej córce coś kruchego i bezbron- nego. Potem jednak znów uniosła brodę i utkwiała spojrzenie przed siebie, trwała czujna i dumna, jakby całą swoją postawą chciała chronić to, co właśnie obok niej dojrzewało.

Pojazd stukał rytmicznie po brukowanych ulicach Danzig, a gdy zjechali ze wzgórza, poranne mgły odsłoniły znajome krajobrazy Radaunekanal.



Margareta przebudziła się dopiero, gdy Ernst skreślił w bramę prowadzącą do rodzinnego domu. Kiedy tylko pojazd zatrzymał się na podjeździe przed dworem przy Radauneufer 23, frontowe drzwi się otworzyły. W progu stanął Johannes Gustaw, najstarszy z braci. Przystojny młody mężczyzna w mundurze armii pruskiej, choć bez czapki, z rozpiętym płaszczem, który zdradzał, że korzysta z krótkiego urlopu specjalnie udzielonego na uroczystą okazję, jaką był chrzest siostry. Nienagannie skrojony granatowy mundur z karmazynowymi wyłogami idealnie przylegał do sylwetki i podkreślał atletyczną budowę i wojskową postawę. Na piersi błyszczały dwa rzędy złocistych guzików z cyfrą pięć, symbolizujących przynależność do 5. Pułku Grenadierów. Wysoką stójkę zdobił subtelny złoty haft, świadczący o stopniu porucznika. Z ramion zwisały złote frędzle epoletek, przy boku tylko brakowało błyszczącej szabli w skórzaney pochwie, którą zapewne zostawił w domu. Hans liczył trzydzieści dwa lata i nosił się z naturalną pewnością człowieka, który nie tylko zna wojskowy dryl, ale stał się jego częścią. Jako zawodowy oficer Oberleutnant w regularnych oddziałach armii pruskiej służył w garnizonach na terenie całego cesarstwa od Nadrenii po Pomorze, zyskał uznanie za dyscyplinę, lojalność i chłodną rozagę w działaniu. Sylwetka mężczyzny była smukła, a kroki sprężyste, każdy jego ruch świadczył o porządku, którego oczekiwano od pruskiego oficera. Jednak



w przeciwieństwie do surowości, jaką reprezentowała matka, Johannes zachował w sobie coś łagodniejszego. W błękitnych oczach wciąż błyszczało ciepło, a jego lekki uśmiech, który był rzadkością w tej rodzinie, ożywił zmęczoną Margaretę bardziej niż słowa. Od dzieciństwa łączyła ich szczególna więź, byli sobie bliscy nie tylko krwią, lecz także sercem. Dzieliła ich spora różnica wieku, ale nie stało to na przeszkodzie, aby starszy o czternaście lat Hans był dla niej opoką – tym, który wysłucha, zrozumie i nigdy nie ocenia zbyt surowo.

Choć Johannes urodził się i wychował w menonickiej rodzinie, jego los potoczył się inaczej, niż oczekiwano w tej pacyfistycznej wspólnotie. Przełom przyniosły zmiany w Prusach, gdzie dążono do umocnienia militarnego i zaostrzono przepisy dotyczące obowiązku wojskowego. Dotąd mennonicy mogli pełnić służbę zastępczą w szpitalach, przy transporcie czy administracji, ale młody Bergmann, świadomy narastającego napięcia politycznego i własnych ambicji, wybrał drogę, która wywołała niemałe poruszenie w rodzinie. Decyzję o wstąpieniu do armii pruskiej Johannes podjął z pełnym rozeznaniem konsekwencji, choć krok ten stał w sprzeczności z menonicką tradycją i wymagał od niego bolesnego zmagania z własnym sumieniem. Tłumaczył ją pragnieniem służby, która miała przynosić stabilność i porządek w świecie pełnym niepokoju. W jego oczach dyscyplina, odpowiedział-



ność i podporządkowanie zasadom armii Cesarstwa Niemieckiego nie kłóciły się z duchowością, przeciwnie: stanowiły jej praktyczny wymiar. Dla Bergmanna służba wojskowa była formą działania na rzecz wspólnoty, wyrazem troski o ład i bezpieczeństwo, które także miały swoje miejsce w porządku Bożym. Z początku ojciec był temu przeciwny, lecz z czasem dostrzegł w synu dojrzałość i konsekwencję. Natomiast matka do tej pory nie pogodziła się z wyborem najstarszego syna. Tylko Margareta rozumiała decyzję brata. W jej oczach Johannes nie przestał być człowiekiem wiary, stał się po prostu jej świadkiem w świecie, który nie znał ciszy modlitwy, lecz wymagał działania.

– No proszę, nasza panna dorosła! – zawołał z żartobliwą czułością, kiedy zszedł po schodkach, aby przywitać się z siostrą wysiadającą z powozu. – I jak poszło, Gretel? Starszyzna dała zgodę?

Margareta uśmiechnęła się lekko, lubiła, jak zwracał się do niej tym zdrobnieniem. W całym domu na tę czułość pozwalali sobie: Johannes, ojciec, nieżyjąca już niania, która dwa lata temu odeszła do Pana, kucharka Hanna oraz pokojówka Marta. Wciąż oszłamiona emocjami dnia poczuła, jak widok brata przynosi jej spokój. Tylko przy nim mogła zdjąć z siebie ciężar oczekiwań i po prostu być sobą.

– Powiedzieli, że jestem gotowa – szepnęła, gdyż nadal nie do końca wierzyła, że już w następną niedzielę przyjmie chrzest.



Hans skinął głową z uznaniem i odgarnął z czoła kosmyk jasnych włosów, który nie chciał podporządkować się wojskowej dyscyplinie.

– Wiedziałem, że dasz radę. Matka już poszła?

– Jest w środku – rzuciła cicho Margareta i zerknęła na wejście, gdzie Josephine już zniknęła bez słowa, jak zawsze.

Na moment ogarnął ją znajomy cień smutku, gdy matka tak ostentacyjnie lekceważyła obecność pierworodnego, jakby nie zasługiwał na uwagę. Hans, czytając siostrzane myśli, ujął ją pod ramię i lekko ścisnął.

– Chodź, zjemy coś porządnego. Domyślam się, że dzień wielkiej duchowości nie zaczyna się od syjącego śniadania?

– Raczej od psalmów i ciszy – odpowiedziała Margareta, a Hans parsknął cicho. Ten drobny komentarz skutecznie rozproszył ciężar chwili.

Wnętrze dworu przywitało ich ciepłem znajomych zapachów duszonego mięsa, pieczonych jabłek i świeżo wypiekanego chleba. Gdzieś w kuchni słychać było stłumione głosy służby i stukot naczyń. Dwór tętnił spokojnym, domowym rytmem, a Margareta poczuła, jak napięcie powoli opuszcza jej ramiona. Wreszcie mogła odetchnąć. Choć dzień ten oznaczał koniec jej dzieciństwa, powrót do domu był także wejściem w nowy etap. A Johannes, jak zawsze, był pierwszym, który powitał ją z otwartym sercem.